

# Piłka ciężka jak kamień

MICHAŁ OLSZEWSKI

Złapałem się niedawno na tym, że mecze regulują sposób, w jaki poruszam się po mieście. Dostyc dobrze orientuję się, kto z kim i kiedy gra. W te dni staram się unikać niektórych miejsc; pewnych linii autobusowych w określonych godzinach; pewnych ulic; słysząc wrzawę, przechodzę zczasu na drugą stronę ulicy. Wiem, którędy będą szli i którędy będą wracali, wiem, do jakich knajp zajdą po meczu. Wiem, że wiele zależy od wyniku – wygrana oznacza względny spokój, przegrana oznacza kłopoty. Unikam też spoglądania w oczy kibiców, żeby nie być posądzonym o sprowokowanie agresji. Być może, mam kłopoty z głową. Ale możliwe też, że to nie ja oszalałem.

**W** Krakowie, gdzie obecnie mieszkam, ale też w innych miastach kraju mamy do czynienia z sytuacją wyjątkową, z czymś na kształt pełzającej wojny domowej. Lata pobłażliwości i przymykania oczu na to, co dzieje się na stadionach, doprowadziły do narodzin siły społecznej, z którą nie radzą sobie ani władze klubów, ani policja, ani sądy. Co więcej: wpływ stadionu na to, co dzieje się poza stadionem, jest w Polsce coraz większy. Stadion urosł do rangi miejsca świętego, życia piłkarskiemu jest podporządkowane w tym kraju wszystko. Na budowę nowych aren w dziurawych miejskich budżetach muszą znaleźć się pieniądze; kiedy kibice jadą na mecz, mają prawo terroryzować pasażerów w autobusach albo tamować ruch w mieście; kiedy powstaje nowy stadion, zgadzamy się bez szemrania, by wyłączyć z ruchu przylegającą do niego ulicę; dzień ważnego meczu w dużym mieście to coś na kształt południowoamerykańskich „dni bez Boga” – gdyby tak przygodny obywatel zaczął bluźnąć, na czym świat stoi, wzbudziłby oburzenie, ponieważ jednak ma na sobie koszulkę klubową, wolno mu więcej. Gdyby tak miasto zostało sparaliżowane przez kominiarzy, kolejarzy czy matki... Kultura kibicowska w Polsce niesie ze sobą ciężki bagaż win – przemocy, bandytyzmu, nienawiści, rasizmu i pogardy. Rytualne tłumaczenia (stowarzyszenia kibiców odwiedzają domy dziecka, kupują paczki świąteczne, przychodzą z zabawkami do szpitali) zestawione z brutalną codziennością wypadają blado.

Prośby i apele do kibicowskich sumień wywołują marny efekt, również dotychczasowe próby okiełznania żywiołu można uznać za chybione. Władze klubów nie mogą posunąć się za daleko, dlatego wybierają model cichego przyzwolenia na rzędy kiboli na trybunach. Ochroniarze odwracają głowy, bo nie chcą po meczu dostać w łeb. Policja po każdej interwencji musi tłumaczyć się z oskarżeń o brutalność i prowokowanie kibiców. Zakazy stadionowe istnieją tak, jak istnieją boczne wejścia, furtki, zaprzysiężeni pracownicy klubów. Cała ta niemoc podszyta jest uzasadnionym lękiem: za błahę zwrócenie uwagi w tramwaju, więcej: za nieodpowiednie spojrzenie w stronę zawsze chętnych do konfrontacji kiboli można stracić zdrowie albo i życie. Dlatego odwracamy głowy.

**T**o nie jest sytuacja, w której czułbym się komfortowo. W pewnym sensie trybuny mam we krwi, ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami. Lubię krzyczeć na całe gardło, razem z innymi, jak bohaterowie filmu Kena Loacha *Looking for Eric* – dzieła dla fanów piłkarskich obowiązkowego. Słyszac szum meczu, niezależnie od tego, gdzie się znajduje, czy jest to małe miasto Orosei na Sardynii, czy warszawskie Okęcie, zachowuję się jak gończe zwierzę – węszyć, jednocześnie z miłością i niepokojem. Geografii użyłem się z tabel niższych lig i do dzisiaj moja prywatna mapa kraju jest upstrzona nazwami miejscowości, w których grały z różnych przyczyn istotne dla mnie drużyny. Dębica? Jaka Dębica? Jest Wiśłoka Dębica. Gorzyce? Tłoki oczywiście. Kotwica Kołobrzeg. Szombierki Bytom. Flota Świnoujście. Beldan Wygryny. Mazur Pisz. Okocimski Brzesko. Tęcza Oracze i Promień Mońki. Derby regionu: Wicher Kobyłka kontra Huragan Wołomin. Jak wielu facetów w tym kraju, z niecierpliwością czekałem na *Skarb kibica*. Mam w pamięci dziesiątki nazwisk niezłych grajków z niższych lig – to również nic wyjątkowego. Czy ktoś jeszcze pamięta Mieczysława Chrzanowskiego? Tak, to ten, który potrafił strzelić bramkę z rzutu różnego! A Roberta Sakowicza – strzelał celnie rzuty wolne z połowy boiska! A Tomasz Buraczewskiego i jego uderzenia z przewrotki? Tak, to są piękne wspomnienia i mógłbym mnożyć je całymi godzinami. Ważniejsze od sentymentalnych wrzuseń wydaje mi się jednak w tej chwili zdanie sprawy z przynębiającego wrażenia, jakie nadochodzi mnie od kilku lat z niepokojącą regularnością, niezależnie od tego, na jakim stadionie się znajduje: mam wrażenie, że płacząc za bilet staję się częścią świata, któremu na imię ZŁO.

Do pewnego momentu wierzyłem, że możliwe jest zachowanie chwiejnej równowagi



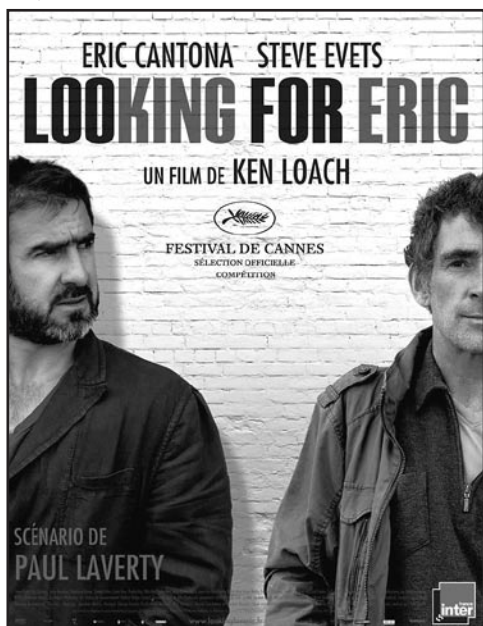
między dwiema skrajnościami. Stadion to nie jest dobre miejsce na edukację przedszkolaków. Na stadionie kibic ma prawo do wrzasku, stadion to hyde park, gdzie możemy dać upust niewygodnym emocjom, tupać i przeklinać bez obawy, że spotka nas za to potępienie społeczne. *Savoir-vivre* tu nie obowiązuje. Kibic ma święte prawo, by drużynie przeciwnika życzyć kompromitującej przegranej i degradacji do niższej ligi. Stadion jest przestrzenią wyłączoną z codziennych reguł gry społecznej, trybuny nie muszą udawać ekumenizmu i miłości do przeciwnika. Wszystko to nie oznacza jednak, że stadion ma być miejscem, gdzie trwa festiwal nienawiści, a dozwolony jest każdy gest. Tak się w ostatnich latach dzieje. Jak kraj długi i szeroki, polscy kibice licytują się w swojej nienawiści do przeciwników i świata. Popatrzcie na ich pełne złości twarze, na to, jak wystawiają penisy w stronę ławki przeciwnika, jak plują gęstą flegmą na ochroniarzy i palą szaliki innych drużyn. Popatrzcie z daleka na język migowy, jakim się posługują – gwałtowne ruchy rąk i głów wskazują, że opowiadają sobie przede wszystkim o biciu. Popatrzcie, jak stoją z szeroko rozstawionymi nogami, splatając dłonie na kości krzyżowej. Czy możliwe, by robili to nieświadomie? W każdym, kto choć odrobinę zna historię Polski, gest ten powinien budzić skojarzenia z esesmanami w obozach koncentracyjnych.

**C**zasem widzi mi się taki eksperyment: zamykamy stadiony na dłużej. Zawieszamy rozgrywki, nie bacząc na protesty tych, którzy mówią, że nie wolno karać uczciwej większości. Obserwujemy bilans zysków i strat. Znika pretekst do regularnych spotkań i rajdów przez miasto. Znika miejsce, w którym podgrzewamy swoje emocje, a potem wynosimy je w miasto. Wiem, że tym tramwajem żołąga szczawi w szalikach już nie pojedzie. Nieco spokojniej robi się na mieście. Nadal rąbią się maczetami i łamią sobie kończyny, ale przynajmniej część tego rytuału zostaje zniesiona.

Znowu mogę chodzić po mieście w weekendy, nie nasłuchując, z której strony nadchodzi niebezpieczeństwo. Choć jednocześnie z wielkim brakiem – w końcu trybuny mam we krwi.



Zamieszki na stadionie Zawiszy Bydgoszcz po finale Pucharu Polski Lech Poznań – Legia Warszawa, 3.05.2011



Plakat filmu Kena Loacha *Looking for Eric*